

HARLAN COBEN

Jeden fałszywy ruch

Thriller



Prolog

15 września

Cmentarz sąsiadował z podwórzem szkoły.

Myron trącił czubkiem rockporta piach. Płyty jeszcze nie było, tylko metalowy pręt i przywiązana do niego zwykła kartotekowa karta z imieniem i nazwiskiem. Pokręcił głową. Stał tu niczym sztamponowa postać z kiepskiego serialu telewizyjnego. Scena ta powinna wyglądać inaczej: zatopiony w smutku, stałby ze zwieszoną głową, nie zwracając uwagi na ulewę siekącą go w plecy, a jedna z błyszczących mu w oczach łez ściekałaby po policzku, mieszając się z deszczem. W tym momencie włączyłaby się nastrojowa muzyka, kamera odsunęła od jego twarzy i wolno, bardzo wolno się cofając, ukazałaby jego zgarbione ramiona, strugi wody, inne groby i nikogo w polu widzenia. Potem zaś, wciąż się cofając, wyłowiłaby jego wiernego druha, Wina, który z szacunku dla bólu przyjaciela trzymałby się dyskretnie z boku. W tym miejscu obraz zastygłby, na ekranie rozbłysło duże żółte nazwisko producenta i po małej

zwłoce, tuż przed reklamami, zachęcono by widzów do obejrzenia migawek z przyszłotygodniowego odcinka.

Na taką scenę nie było jednak szans. Słońce świeciło jak w dniu stworzenia, niebo lśniło, jakby świeżo wyszło spod pędzla malarza, Win siedział w swoim biurze, a on sam nie płakał.

Co więc tutaj robił?

Czekał na mordercę. Był pewien, że wkrótce się zjawi.

Szukając sensu w cmentarnym krajobrazie, dostrzegął w nim samą sztapkę. Od pogrzebu minęły dwa tygodnie. Spod ziemi zdążyły już wystrzelić pędy chwastów i mleczy. Czekał, aż wewnętrzny głos palnie wyświechtaną mowę, że chwasty i mlecze są oznaką wiecznie odradzającego się życia, ale tym razem ów głos litościwie milczał. Myron z chęcią dopatrzyłby się ironii w tym, że na tchnące niewinnością szkolne podwórze — z wyblakłymi śladami kredy na czarnym asfalcie, trójkołowymi kolorowymi rowerkami, lekko zardzewiałymi łańcuchami huśtawek — pada cień grobów, niemych strażników, którzy zdają się obserwować dzieci i przyzywać je do siebie. Lecz o ironii nie mogło być mowy. Na szkolnych podwórzach nie kwitła niewinność. Panoszyli się za to brutale, pączkujące psychozy, czyhający na okazję socjopaci i dzieciaki przepojone nienawiścią już w łonach matek.

„Wystarczy tego abstrakcyjnego mlócenia słomy” — pomyślał.

Poniekąd zdawał sobie sprawę, że ów wewnętrzny dialog służy odwróceniu uwagi, że jest filozoficznym wybiegiem, chroniącym jego kruchy, napięty umysł przed trząśnięciem

jak sucha gałązka. Jakże pragnął się poddać, ugiąć, paść na ziemię, drzeć ją gołymi rękami, prosić o przebaczenie i błagać najwyższą moc, żeby dała mu jeszcze jedną szansę!

Ale o tym również nie mogło być mowy.

Za plecami usłyszał kroki. Zamknął oczy. Tak jak oczekiwał, kroki się zbliżyły. Nie odwrócił się, gdy ucichły.

— Zabiłeś ją — powiedział.

— Tak.

W brzuchu stajała mu bryła lodu.

— Ulżyło ci? — spytał.

— Rzecz w tym, Myron, czy ulżyło tobie — odparł zabójca, pieszcząc jego kark głosem jak zimna, bezkrwista ręka.

1

30 sierpnia

— Nie jestem niańką. Jestem menedżerem — wybąkał Myron, garbiąc się w ramionach.

— Naśladujesz Belę Lugosiego? — spytał z bolesnym grymasem Norm Zuckerman.

— Człowieka słonia.

— Aj, nieładnie. Kto mówi o niańczeniu? Czy ja powiedziałem „niańka”, czy ja powiedziałem „niańczenie”? Czy ja powiedziałem „mamka”, „piastunka”, „opiekunka do dziecka” albo choćby, na ten przykład, „dziecko”...

Myron podniósł rękę.

— Zrozumiałem, Norm.

Siedzieli pod koszem w Madison Square Garden na drewnianych krzesłach o płóciennych oparciach, na których widnieją nazwiska gwiazd filmowych. Krzesła ustawiono tak wysoko, że siatka kosza niemal muskała Myronowi włosy. Na boisku trwały zdjęcia. Pełno było reflektorów z blendami, wysokich, chudych kobiet-dzieci, trójnogów i

zaganianych, krzających się osób. Myron czekał, aż ktoś weźmie go omyłkowo za modela. Nadaremnie.

— Musisz mi pomóc. Tej młodej kobiecie może coś grozić — rzekł Norm.

Dobijający siedemdziesiątki Zuckerman, dyrektor naczelny Zoomu, wielkiego koncernu odzieży sportowej, miał więcej pieniędzy niż Donald Trump, ale wyglądał jak bitnik, któremu odbiło na haju. Fala retro wzbiera, wyjaśnił wcześniej. Zabrał się z nią, odziewając się w psychodeliczne poncho, wojskowe spodnie polowe, paciorki i kolczyki z pacyfami. Obłąd, bracie! W jego szpakowatej zmierzwionej brodzie mogłyby się zalęgnąć larwy, a na głowie miał świeży ondul jak statysta z filmowego obciachu *Godspell*.

Che Guevara żyje i nosi trwałą!

— Ty nie mnie potrzebujesz. Ty potrzebujesz ochroniarza — odparł Myron.

Norm zbył to machnięciem ręki.

— Odpada.

— Dlaczego?

— Ona na to nie pójdzie, Myron. Co wiesz o Brendzie Slaughter?

— Nie za dużo.

— Co znaczy, nie za dużo? — zdziwił się Norm.

— Którego z tych słów nie rozumiesz?

— Daj spokój, Myron, byłeś koszykarzem.

— I co?

— To, że Brenda Slaughter jest zapewne najlepszą koszykarką wszech czasów. Pionierką w swojej dyscyplinie, a do tego, co się będę szczypał, wabikiem mojej nowej ligi.

— To wiem.

— No, to wiedz również, że się o nią martwię. Gdyby coś jej się stało, całą ligę ZKZ, Związku Koszykarek Zawodowych, w którą sporo włożyłem, przyjdzie spuścić z wodą.

— Jeśli ze względów humanitarnych, to proszę bardzo.

— Owszem, jestem chciwą świnią kapitalistyczną. Ale ty, przyjacielu, jesteś menedżerem sportowym. Należysz do gatunku najbardziej pazernych, podłych, odrażających kreatur kapitalistycznych, jakie nosi ziemia.

Myron skrzywił się.

— Podlizuj mi się dalej — wtrącił. — Poskutkuje.

— Daj dokończyć. Owszem, jesteś menedżerem. Ale świetnym. Właściwie najlepszym. Ty i ta hiszpańska siksa dbacie o swoich klientów, że lepiej nie można. Bardziej, niż na to zasługują. Każda pertraktacja z tobą to istny gwałt. Bóg świadkiem, jesteś nie do pobicia. Wpadasz do mojego biura, zdzierasz ze mnie ubranie i wyprawiasz ze mną, co chcesz.

— Litości!

Myron zrobił minę.

— A poza tym znam twoją tajemnicę. Wiem, że pracowałeś dla FBI.

Też mi tajemnica. Myron wciąż się łudził, że wreszcie uda mu się spotkać powyżej równika kogoś, kto o tym nie słyszał.

— Skup się na sekundę. Wysłuchaj mnie. Brenda to ładna dziewczyna, świetna koszykarka... i wrzód na moim lewym półdupku. Nie winię jej za to. Gdybym miał takiego

ojca, też bym był taki.

— Więc to jej ojciec sprawia kłopoty?

Norm zrobił gest „na dwoje babka wróżyła”.

— Prawdopodobnie.

— To postaraj się o nakaz ograniczający mu kontakty z córką.

— Już się postarałem.

— Więc w czym problem? Wynajmij detektywa. Jeżeli stary Brendy zbliży się do niej na sto kroków, wezwijcie policję.

— To nie takie proste.

Norm spojrział na boisko. Członkowie ekipy zdjęciowej uwijali się jak cząsteczki wody w ukropie. Myron łyknął kawy. Kawy dla smakoszy. Jeszcze przed rokiem nie brał jej do ust. A potem zaczął wpadać do jednej z nowych kawiarni, mnożących się jak kiepskie filmy w kablówce, i w tej chwili nie mógł przeżyć ranka bez wypicia małej czarnej.

Trudno powiedzieć, czy była to jeszcze niewinna przerwa na kawę, czy już tkwił w szponach nałogu.

— Nie wiemy, gdzie jest — dodał Norm.

— Słucham?

— Jej ojciec. Zniknął. Brenda cały czas ogląda się za siebie. Jest wystraszona.

— Myślisz, że on jej zagraża?

— Ten gość to domowy tyran na sterydach. Kiedyś sam grał w kosza. W lidze Pacific Ten. Nazywa się...

— Horace Slaughter.

— Znasz go?

Myron bardzo wolno skinął głową.

— Tak, znam — odparł.

Norm bacznie mu się przyjrzał.

— Nie grałeś z nim. Jesteś za młody.

Myron nie odpowiedział. Norm jak zwykle słabo jarzył.

— Skąd znasz Horace'a Slaughtera? — spytał Zuckerman.

— To nie ma nic do rzeczy. Dlaczego myślisz, że Brenda Slaughter jest w niebezpieczeństwie?

— Dostała pogróżki.

— Jakie?

— Grożono jej śmiercią.

— Możesz to uściślić?

Wir sesji zdjęciowej trwał w najlepsze. Modelki i modele prezentowali najnowsze wyroby firmy Zoom, przybierając coraz to inne pozy, wyrazy twarzy, postawy i miny. Ktoś wzywał Teda. Gdzie, do jasnej cholery, jest Ted, przekłeta primadonna! Dlaczego jeszcze się nie przebrał?! Jak Boga kocham, szlag mnie przez niego trafi!

— Dostaje telefony. Jeździ za nią samochód. Te rzeczy.

— Czego oczekujesz ode mnie?

— Żebyś jej pilnował.

Myron pokręcił głową.

— Nawet gdybym się zgodził, a nie zgadzam się, to sam powiedziałeś, że ona nie zaakceptuje ochroniarza.

Norm uśmiechnął się i poklepał Myrona po kolanie.

— Mam dla ciebie przynętę. Rybkę na haczyku.

— Oryginalna analogia.

— Brenda Slaughter nie ma w tej chwili menedżera.

Myron nic nie powiedział.

— Zapomniałeś języka w gębie, przystojniaku?

— Myślałem, że podpisała duży kontrakt reklamowy z Zoomem.

— Akurat gdy miała go podpisać, zniknął jej stary. Był jej menedżerem. Ale się go pozbyła. Teraz nie ma nikogo. W jakiejś mierze polega na mojej opinii. Ta dziewczyna nie jest w ciemną bita, Myron. Oto mój plan. Brenda wkrótce się tu zjawi. Polecę jej ciebie. Ona powie cześć. Ty powiesz cześć. A potem podbijesz ją swoim słynnym czarem.

Myron uniósł brew.

— Podkreślę ci na maksa?

— No, co ty?! Nie chcę, żeby biedaczka wyskoczyła z szatek.

— Poprzysiągłem służyć swą potęgą tylko zbożnym celom.

— Ten jest dobry, wierz mi.

Myrona to nie przekonało.

— Nawet gdybym zgodził się na udział w twoim poronionym planie, to co z nocami? Oczekujesz, że będę jej strzegł na okrągło?

— Skądże. Pomoże ci Win.

— Win ma coś lepszego do roboty.

— Powiedz temu boyowi gojowi, że to robota dla mnie. On mnie kocha.

W stronę ich grzędy ruszył zwawo wzburzony fotograf, jeden z wielu bogatych Europejczyków pracujących w Stanach. Miał szpiczastą bródkę i włosy sterczące jak Sandy Duncan w dniu wolnym od spektaklu. Widać, że kąpiel nie była dla niego najważniejsza. Raz po raz wzdychał, aby nikt

nie miał wątpliwości, jaka z niego ważna figura i że jest wkurzony.

— Gdzie jest Brenda? — zapiszczał.

— Tutaj.

Myron obrócił się w stronę głosu, ciepłego jak miód na niedzielnych naleśnikach. Brenda Slaughter weszła długim zdecydowanym krokiem — nie nieśmiało jak gidia ani paskudnie sztywno jak modelka — przepływając przez salę niczym śledzony radarami front wyżowy. Bardzo wysoka, dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, miała skórę koloru ciemnej mokki obficie zaprawionej chudym mlekiem. Jej zachwycająco, acz nie wyzywająco obcisłe, spłowiełe dżinsy i narciarski sweter usposabiały do marzeń o pieszczotach w ośnieżonej chacie z bali.

Myron powstrzymał się od głośnego wyrażenia podziwu.

Brenda Slaughter — o wiele za wysoka i za szeroka w ramionach, żeby być modelką — była nie tyle piękna, ile elektryzowała. I to tak, że trzaskało wokół niej powietrze. Myron znał kilka zawodowych modelek. Leciały na niego — ha, ha! — nedorzecznie chude, cieniutkie jak sznurki zwieńczone balonikami z helem. Brenda nie była chudziwą. Z tej masywnej dziewczyny biła siła, moc, jak kto woli, potęga, co bynajmniej nie ujmowało jej kobiecości ani ogromnego powabu.

— Sam widzisz, że to dziewczyna z plakatu — szepnął mu do ucha Norm.

Myron skinął głową.

Norm zerwał się z krzesła.

— Brenda, podejdź tu, kochanie! — zawołał. — Chcę ci

kogoś przedstawić!

W jej wielkich piwnych oczach, które napotkały Myrona, odbiło się wahanie. Uśmiechnęła się lekko i ruszyła w ich stronę. Myron, urodzony džentelmen, wstał. Podeszła wprost do niego i wyciągnęła rękę. Był dobre kilka centymetrów wyższy od niej. Miała prawie metr dziewięćdziesiąt, mocny uścisk.

— Kogo ja widzę — powiedziała. — Myron Bolitar.

Norm zrobił gest, jakby pragnął popchnąć ich ku sobie.

— To wy się znacie? — spytał.

— Pan Bolitar na pewno mnie nie pamięta — odparła. —
Minęło tyle czasu.

Już po kilku sekundach Myron uznał, że gdyby ją kiedyś spotkał, na pewno by zapamiętał. To znaczyło, że spotkali się bardzo dawno temu i w całkiem innych okolicznościach.

— Kręciła się pani po parkietach — powiedział. — Z tatą. Miała pani z pięć, sześć lat.

— A pan zaczął naukę w szkole średniej. Był pan jedynym białym chłopcem grającym w pierwszej piątce. Z drużyną liceum w Livingston zdobył pan szkolne mistrzostwo stanu, z drużyną Uniwersytetu Duke'a akademickie mistrzostwo kraju, w pierwszej rundzie zaciągu trafił pan do Celtics...

Oddała mu głos. Był do tego przyzwyczajony.

— Miło mi, że pani to pamięta — rzekł, kokietując ją męskim urokiem.

— Dorastałam, patrząc, jak pan gra. Ojciec śledził pańską karierę tak, jakby pan był jego rodzonym synem. Kiedy pan odniósł kontuzję...

Znów urwała, ściągając usta.

Uśmiechnął się na znak, że rozumie i docenia jej uczucia.

— Myron jest obecnie menedżerem — skorzystał z ich milczenia Norm. — I to dobrym. Moim zdaniem, najlepszym. Rzetelnym, uczciwym, lojalnym jak wszyscy diabli... — urwał i z niedowierzaniem potrząsnął głową. — I ja to mówię o agencji sportowym?!

Znów nadciągnął koziobrody Sandy Duncan.

— *Monsieur* Cikermann! — zawołał z francuskim akcentem, równie autentycznym jak francuski akcent Pepe LePew z kreskówki.

— *Oui?* — spytał Norm.

— Potrzebna jest pańska pomoc, *s'il vous plait*.

— *Oui*.

Myron miał ochotę zażądać tłumacza.

— Usiądźcie. Na chwilę was zostawię. — Dla wzmocnienia kwestii Norm poklepał puste krzesła. — Myron pomaga mi w zorganizowaniu ligi. Jako... konsultant. Porozmawiaj z nim, Brendo. O swojej karierze, przyszłości i reszcie. To menedżer w sam raz dla ciebie.

Mrugnął do Myrona — co za subtelność — i odszedł.

— To wszystko prawda? — spytała Brenda, siadając w jego reżyserskim krześle.

— Częściowo.

— W jakiej części?

— Chciałbym zostać pani agentem. Ale jestem tu w innej sprawie.

— Tak?

— Norm martwi się o panią. Chce, żebym pani pilnował.

— Pilnował? Mnie?

Myron skinął głową.

— Sądzi, że ktoś pani zagraża.

Zacisnęła szczękę.

— Powiedziałam mu, że nie życzę sobie pilnowania.

— Wiem. Mam to robić potajemnie. Cicho, sza.

— Dlaczego pan mi o tym mówi?

— Mnie się nie trzymają tajemnice.

Skinęła głową.

— No i?

— Jeśli mam być pani menedżerem, to nie warto zaczynać naszej współpracy od kłamstwa.

Usiadła wygodnie, krzyżując nogi dłuższe niż kolejka w wydziale komunikacji w porze lunchu.

— Co jeszcze zalecił panu Norm?

— Żebym użył swego czaru.

Zamrugwała.

— Bez obawy. Uroczyście przysięgłem używać go wyłącznie w dobrych sprawach.

— Moje szczęście. — Brenda uniosła w górę długi palec i kilkakrotnie stuknęła nim w podbródek. — A więc Norm uważa, że potrzebuję niańki.

Myron wyrzucił ręce w górę.

— A kto mówi o niańce? — spytał, parodiując Zuckermana.

Choć wyszło mu to lepiej niż naśladowanie człowieka słonia, to z pewnością nikt nie ostrzegłby w te pędy parodysty Richa Little'a, że wyrosła mu konkurencja.

Brenda uśmiechnęła się.

— Dobrze. — Skinęła głową. — Zgadzam się.

— Jestem mile zaskoczony.

— Niepotrzebnie. Zamiast pana Norm mógłby wynająć kogoś, kto nie byłby ze mną taki szczery. A tak będę przynajmniej wiedzieć, co się dzieje.

— Logiczne.

— Ale mam pewne warunki.

— Tak myślałem.

— Chcę mieć pełną swobodę w tym, co robię. Nie pozwolę naruszać mojej prywatności.

— Oczywiście.

— Jeżeli każę panu zejść mi z oczu, to spyta się pan, na jak długo.

— Dobrze.

— Żadnego szpiegowania mnie bez mojej wiedzy.

— Tak jest.

— I wtrącania się w moje sprawy.

— Zgoda.

— Ani słowa, jeżeli nie wrócę na noc do domu.

— Ani mru-mru.

— Ani słowa, jeśli wezmę udział w orgii z pigmejami.

— A nie mógłbym chociaż popatrzeć?

Uśmiechnęła się.

— Nie chcę wyjść w pana oczach na zołzę, ale dość mam w życiu ojcowania. Dziękuję bardzo. Chcę, aby to było jasne: nie będziemy przebywać ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. To nie film z Kevinem Costnerem i Whitney Houston.

— Niektórzy mówią, że jestem do niego podobny.

Myron posłał jej cyniczny, łobuzerski uśmiech à la Kevin w roli Bulla Durhama.

Przejrzała jego gierkę, bo odparła:

— Może z wysokiego czoła.

Au! W połowie boiska koziobrody Sandy Duncan znowu wezwał Teda. Świta fotografa poszła w jego ślady i imię Teda rozbiegło się po sali jak rój skocznych piłeczek.

— Rozumiemy się? — spytała Brenda.

— Doskonale. — Myron poprawił się na krześle. — Naświetli mi pani sytuację?

Na salę, z prawej, wkroczył wreszcie Ted. To musiał być on, bo kto? Dwudziestoparoletni, modelowo przystojny, w majtkach firmy Zoom, miał brzuch pofałdowany jak trójwymiarowa mapa terenu wyrzeźbiona w marmurze, a oczy zmrużone jak więzienny klawisz. Podążał tanecznym krokiem na plan, przeczesywał dłońmi kruczoczarne włosy supermana, poszerzając tym ruchem klatkę piersiową, zwężając talię i demonstrując ogolone przedramiona.

— Idzie paw — mruknęła Brenda.

— Krzywdzi go pani. Może jest stypendystą Fulbrighta.

— Już z nim pracowałam. Gdyby Bóg obdarzył go drugim rozumem, to ten rozum umarłby z samotności. — Spojrzała na Myrona. — Czegoś nie rozumiem — powiedziała.

— Czego?

— Dlaczego pan? Agent sportowy. Dlaczego to właśnie pana Norm poprosił, żeby mnie pan chronił?

— Kiedyś pracowałam... — Myron urwał i zrobił nieokreślony gest — dla rządu.

— Pierwsze słyszę.

— To kolejna tajemnica. Cicho, sza!

— Pana nie trzymają się tajemnice.

— Może mi pani zaufać.

— Jako biały koszykarz umiał pan skakać, więc pewnie jest pan dobrym menedżerem — odparła po krótkim namyśle.

Zaśmiał się. Zapadło niezręczne milczenie.

— Opowie mi pani o tych groźbach? — spytał, po raz drugi próbując z niej coś wydobyć.

— Niewiele mam do powiedzenia.

— Więc Norm wszystko zmyślił?

Nie odpowiedziała. Jeden z asystentów naoliwił bezwłosy tors Teda, który wciąż mierzył zebranych zmrużonymi oczami twardego. Naoglądał się filmów z Clintem Eastwoodem. Stał z zaciśniętymi pięściami i cały czas grał mięśniami piersiowymi. Myron postanowił uprzedzić falę powszechnej nienawiści i zniechęcić go od razu.

Brenda milczała.

— Gdzie pani mieszka? — spytał, podejmując kolejną próbę.

— W akademiku Uniwersytetu Restona.

— Studiuje pani?

— Medycynę. Czwarty rok. Żeby grać zawodowo w koszykówkę, wzięłam urlop dziekański.

— Wybrała już pani specjalizację?

— Tak. Pediatrię.

Myron skinął głową.

— Tata z pewnością jest z pani bardzo dumny — rzekł, chcąc wyciągnąć z niej coś więcej.

Twarz Brendy na chwilę się zmieniła.

— Pewnie tak. — Zrobiła ruch, żeby wstać. — Muszę się przebrać do zdjęć.

— Nie powie mi pani, co się dzieje?

Pozostała na krześle.

— Tata zniknął.

— Dawno?

— Tydzień temu.

— I to wtedy zaczęły się groźby?

Nie odpowiedziała.

— Chce pan pomóc? — spytała. — To niech pan go znajdzie.

— Czy to on pani grozi?

— Mniejsza o groźby. Tata lubi mieć kontrolę. Zastraszanie to jedna z metod.

— Nie rozumiem.

— Nie musi pan. Tata jest pańskim przyjacielem, prawda?

— Pani ojciec? Nie widziałem go od ponad dziesięciu lat.

— Z czyjej winy?

Zaskoczyło go to pytanie, ale i gorycz w jej głosie.

— Dlaczego pani pyta?

— Wciąż obchodzi pana jego los?

Myron nie musiał myśleć nad odpowiedzią.

— Przecież wie pani, że tak — odparł.

Skinęła głową i zerwała się z krzesła.

— Ma kłopoty. Niech pan go znajdzie — powiedziała.